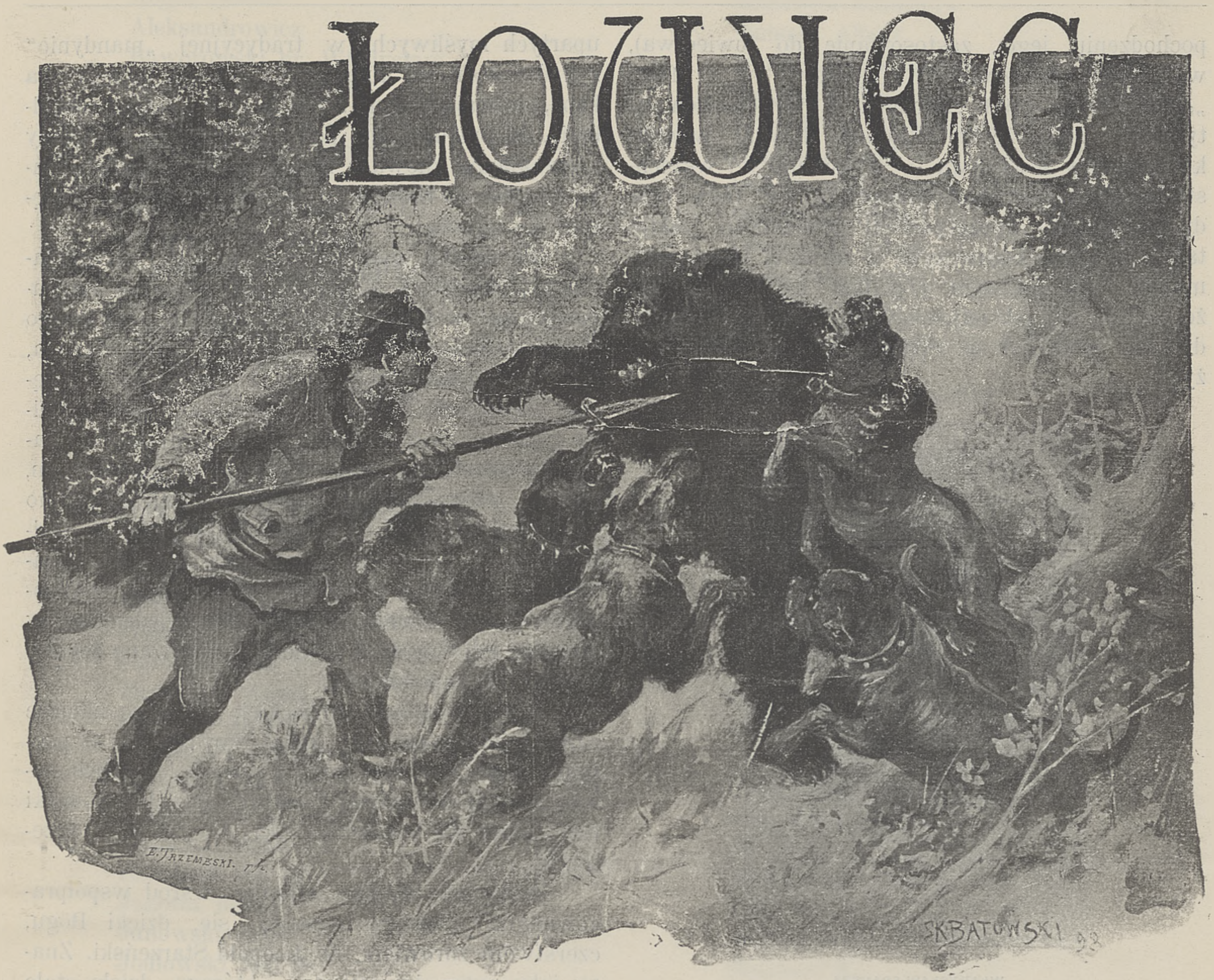
Nr. 24. Lwów, 15. grudnia 1903. (Opuścił prasę 22. grudnia). Rok XXVI.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

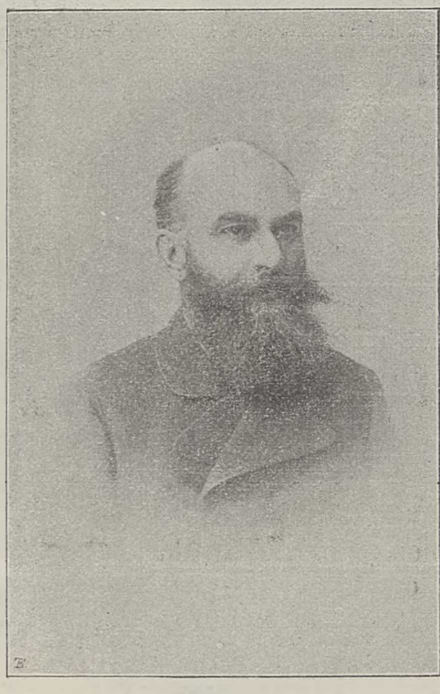
Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

W dwudziestopięcioletnią rocznicę.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Drugim potentatem pióra, który zasilał „*Łowca*“ swojemi pracami, a który niestety przedwcześnie zamknął powieki do wiecznego snu, był Władysław Spausta. Przez cały długi szereg lat prawie w każdym numerze „*Łowca*“ znajdowała się jakaś praca śp. Spausty, czy to korespondencya, czy studyum przyrodnicze, czy jakiś ciekawy epizod, często pełen humoru, a zawsze zawierający cenne spostrzeżenie, lub trafną radę. I tak w roczniku 1791 zamieszczane były artykuły pod tytułem: „Z łowieckiej przeszłości“, rys historyczny zwierząt łownych, będących na wymarciu: tur, żubr, koń, dziki, suhak, sobol, rosomak, bóbr, — w r. 1892 wychodziła praca „Z zatargów rodzinnych“, w r. 1893 „Z krainy psów“, „Morituri“ (Łoś, pochodzenie jego, zatrata, łoś w zwierzostanach rozmaitych krajów), „Niedobitki“ (Ryś w dziejach łowiectwa polskiego i stan obecny). „Uratowani“ (o świstaku i bobaku), w r. 1895 „Zakonnik leśny“ (głuszec przedhistoryczny, życie, tokowania, łowy) „Typy parostków“, „Dawni wróżbici“ (życie, przyroda i zwyczaje łabędzia, myty i legendy o nim), „Kynegetika“ (rozprawka o psie,

pochodzeniu jego, zastosowanie do łowiectwa), w r. 1896 „Niedźwiedź“, „Cietrzew“, w r. 1897 „Jeleń“, w r. 1898 „Żóraw“. Z wyliczonych tu tytułów widno, że śp. Spausta dotykał wszystkich działów łowiectwa — a pomimo tej wszechstronności, prace jego odznaczają się taką erudycyą, takiem wyczerpaniem przedmiotu, takim talentem spostrzegawczym, a zarazem tak są zajmujące i tak pięknym językiem się odznaczają, że czytają się jak najciekawsze powieści. Prawdziwym poetą był śp. Spąusta w opisie lasu i jego życia.



WŁADYSŁAW SPAUSTA.

Zdawało się rzeczywiście, jak to napisaliśmy w jego nekrologu, że rozumiał on rozgowor dębów, że buki szeptały mu swoje tajemnice, brzoza opowiadała swoje bole, a sosna zdradzała mu tajemnice płochliwych saren, lub rączych szaraków. Literaturę łowiecką obcych krajów znał Spausta tak dokładnie, jak nikt inny i umiał ją słusznie oceniać. Przedwczesna jego śmierć była wielkim ciosem dla *„Łowca“*, wyrywającym w gronie jego współpracowników lukę, do dzisiaj dnia niezapełnioną. Podobną lukę sprawiła także śmierć Aleksandra Ubysza. Chociaż odznaczał się bardzo wielką bystrościa spostrzegawszą i niepospolitym darem obwarowania i charakteryzowania tego, co świeżo, lub niegdyś widział lub słyszał, to przecież talent jego innym był od talentu Spausty. Tamten był ścisłym badaczem, zapuszczającym się z widoczną przyjemnością na pole tradycyi, ten żył tą tradycyą i z rozkoszą w niej się obracał. Ukochał on gorąco dawne łowiectwo i odtworzył je w licznych i barwnych opowiadaniach, rzeźbił postacie jakichś pastuszków ogorzałych i siedzących kupką na wygonie, jakichś upartych myśliwych, w tradycyjnej „mandynie“ z nad Sołokii, co kulejąc, przeskakują z kępy na kępę, opierając się na sznurkami powiązanej strzelbinie, to przenosi nas pod „Otryt“ i na połoniny i zaznajamia znowu z łowcami, co strącają ziarnka prochu od uroków, a celując, krzyżem świętym się znaczą.

Nie rzadko spotyka się w jego opowiadaniach i szlachcica z sumiastym wąsem i komenderującego w kniei, jakby na bagnety, jak owego Tyszkowskiego i Romanowskiego, i Reb Dawida, tylko w Polsce możliwego, i leśniczego i księdza, zapalonego łowca, i „Marcinka“, i pobereżnika i chłopa kłusownika, jednem słowem całe nasze społeczeństwo, które żyje życiem prawdziwem, pełnem niewyszukanej malowniczości. Niejedno wyrażenie, przejęte od starych myśliwych lub podsłuchane z ust ludu, zawdzięcza mu swe uprawnienie w języku łowieckim piśmiennym i wzbogaciło nasze słownictwo łowieckie, niejeden dawny aforyzm lub wierszyk łowiecki, uratowane zostały przezeń od zapomnienia.

W dziale poezyi łowieckiej, pierwsze miejsce zajmuje niezapomniany Artur Bartels. Ileż w poezyach jego humoru, życia i prawdy! Bertels należy zresztą do ogólnej literatury naszej i piosenki jego, innej niż łowieckie treści, do dziś dnia przetrwały

Znakomite miejsce zajmuje wśród współpracowników *„Łowca“*, cieszący się, dzięki Bogu, czerstwem zdrowiem, hr. Leopold Starzeński. Znany jako autor dramatyczny, którego dzieła stale należą do repertoaru scen polskich, zasilał znakomity nasz pisarz i myśliwy *„Łowca“* pracami ze wszystkich działów, a więc poezyami, obrazami z życia zwierząt, opisami dawnych i świeżych polowań, znakomitym opisem polowania w Azyi mniejszej — jednem słowem sięgał hr. Starzeński do wszystkich działów literatury łowieckiej, a z jakim skutkiem, świadczy o tem uznanie, jakiem się cieszy wśród swoich i obcych.

Doskonałym gawędziarzem jest hr. Marceli Tyszkiewicz, któremu zawdzięczamy wiele wspomnień z łowów w rozmaitych częściach Polski odbywanych.

Sława hr. Józefa Potockiego, którego wspomnienia z wycieczek myśliwskich do obcych światów, w *„Łowcu“* umieszczaliśmy, jako pisarza łowieckiego, jest zanadto wielka, abyśmy mieli tu zaznaczać, że jego pisma są jedną z największych ozdób *„Łowca“*,

Dla wdzięcznej pamięci wyliczamy tu tych współpracowników, którzy w czasie dwudziestopięcioletniego trwania *„Łowca“*, dostarczali mu artykułów :

Abgar Sołtan
Aleksandrowicz
Baworowski hr. Władysław
Berzewiczy Ezechiel
Bielski hr. Juliusz Aleks.
Borowski Józef Skarbek
Brzozowski Karol
Buczyński Edmund Dr.
Czaplicki Władysław
Czarkowski-Golejewski Tad.
Czartoryski ks. Witołd
Czetwertyński Włodzimierz
Dąbrowski Ernest
Dembiński Rawicz Kalikst
Douillet Modest
Dygasiński Adolf
Dzieduszycki hr. Włodzim.
Gabryszewski dr. Tadeusz
Glanz Józef
Gloger Zygmunt
Gniewosz Jan
Gołębski Kazimierz
Gordaszewski T.
Gostyński Karol
Gotwald Antoni
Govalczyk Stanisław
Grodzicki Maryan
Grzegorzewski Jan
Hillbricht Albrecht
Hostoński Karol
Janotta Rudolf
Janowski Artur
Jodłowski Jan dr.
Jordan
Karwicki hr. Dunin Józef
Kesselring Rudolf
Kisielewski Seweryn
Klimkowski Grzegorz
Kochanowski Cyryl
Kolbuszowski Edmund
Koziebrodzki hr. Władysław
Kozierowski Kazimierz
Kotkowski Władysław
Kratter Ferdynand
Lettner G.
Lewicki Włodzimierz
Linderski Konstanty
Łączyński Henryk
Łubiński hr. Franciszek
Łysakowski Leopold
Mańkowski Tadeusz
Marcinków Jan
Martyniec Jan
Matkowski Stanisław
Mazaraki Jan
Miziewicz Stanisław
Mniszek Albert
Moniuszko Stanisław
Morawski Szczęsny
Nowicki dr. Maxymilian
Obrębski Józef
Odachowski Ignacy Nałęcz
Ostrowski Stefan
Ożarowski Adam
Padlewski Józef
Pawiński Adolf
Pawlik dr. Stefan
Pisuliński Józef
Potocki hr. Aleksander
Prek Stefan
Przedrzymirski Aleksander
R. M.
Rejchard Aleksander
Remiszewski Karol
Remiszewski Kazimierz
Rewieński Stanisław
Rostworowski Władysław
Rudnicki Kazimierz
Rylski Edmund
Samolewicz Janusz
Sander A.
Ślaski Artur
Słonczyński W.
Sołowij dr. Władysław
Stadnicki hr. Antoni
Starkiewicz J.
Starzeński hr. Bronisław
Strzemię K.
Sumiński hr. Artur
Świrski Józef
Szarski dr. Henryk
Szembek hr. Stefan
Szlezygier J. O.
Szóstak Wiktor
Tabaczkowski Kazimierz
Tarnowski hr. Stan. (młod.)
Tomaszewski Antoni Ignacy
Walentowicz dr. A.
Walewska Marya
Wańkowicz S.
Weeber Ludwik
Wierzbowski Michał
Wierzbicki Romuald
Wittemberski Stanisław
Wodzicki hr. Stanisław
Zaleski Wł.
Zduń dr. Jan
Żurowski Teofil

Całej plejady korespondentów nie wymieniamy.

Dział poezyi reprezentują:

Doliwa Łukasz
Dziubiński G. L.
Fredro hr. Andrzej
Jastrzębiec Antoni
Komorowski Bronisław
Konarski Franciszek
Kornicki Jan
Kozicki Maryan
Krogulski Seweryn
Mniszek Albert
Niesłuchowski Jan
Pietruski Zygmunt
Przedrzymirski Aleksander
Rodoć Mikołaj
Rossowski Stanisław
Walter Edmund

Próbowano nawet sił w dziale dramatu, a mianowicie dał Brzozowski Karol fraszkę myśliwską pod tytułem: „Do tarczy o pannę“ — Kozicbrodzki Władysław, obrazek sceniczny „Na stanowisku“.

Ponieważ od czasu zawiązania się towarzystwa rybackiego używało ono „*Łowca*“ jako swojego organu, zanim samo swojego własnego organu nie stworzyło, zamieszczali w „*Łowcu*“ artykuły o treści rybackiej:

Molicki Antoni dr.
Nowakowski O. dr.
Nowicki Maksymilian dr.
Raciborski Maryan
Syrski Szymon dr.
Zaleski Władysław.

W końcu, również dla pamięci, notujemy tu nazwiska tych członków, którzy od samego początku założenia Towarzystwa do niego należą i wiernymi mu pozostali do dziś dnia. Jest ich, dzięki Bogu, spora liczba:

Agopsowicz Stanisław
Artwiński Mieczysław
Bielski hr. Juliusz
Bogucki Władysław
Bohdan Hipolit
Borkowski hr. Mieczysław
Brunicki br. Julian
Bzowski Władysław
Cetner hr. Albert
Cielecki Zaremba Artur
Czaykowski Władysław
Dolański Henryk
Dolański Stanisław
Drohojowski hr. Zygmunt
Dzieduszycki hr. Edmund
Dzieduszycki hr. Tadeusz
Fabiański Wacław
Fedorowicz Władysław
Gnoiński Jan
Hirsch Piotr
Janiszewski Stefan
Janowski Franciszek
Jędrzejowicz Józef
Jocz Bolesław
Kęplicz Maryan
Korytowski hr. Juliusz
Krasicki hr. Ignacy
Lewakowski Alfred
Lityński Edmund
Maniewski Maryan
Matkowski Stanisław
Miączyński hr. Józef
Mniszek hr. Władysław
Obertyński Kazimierz
Obertyński Zdzisław
Piegłowski Stanisław
Pieńczykowski Stanisław
Potocki hr. Józef
Potocki hr. Roman
Rieger Władysław
Rozwadowski Bronisław
Rozwadowski Franciszek
Rożen Jaxa Mieczysław
Schnell Artur
Schnell Oskar
Siegler Eberswald Juliusz
Skrzyński Seweryn
Skrzyński Zdzisław
Sokołowski Antoni
Stadnicki hr. Jan
Stadnicki hr. Stanisław
Starzeński hr. Leopold
Szawłowski Ludwik
Szczepański Alexander
Szczerbicki Franciszek
Szembek hr. Stefan
Szeptycki hr. Jan
Tarnowski hr. Jan
Tarnowski hr. Juliusz
Tarnowski hr. Stanisław
Torosiewicz Klemens
Torosiewicz Mikołaj
Ubysz Edward
Ujejski Roman
Urbański Jan
Wasilewski Tadeusz
Wodzicki hr. Antoni
Wojciechowski Romuald
Wolski Eustachy
Zbyszewski Kazimierz
Zontak Władysław
Żurowski Teofil.

Książęta Eustachy Sanguszko i Adam Sapieha zmarli w roku bieżącym, tj. w 26-tym istnienia „Łowca“.

Wieńce i odnogi nadoczne.

Pierwsza ozdoba głowy jelenia ukazuje się, jak wiadomo, u cielęcia siedmio- do ośmiomiesięcznego, zupełnie jak pierwsze parostki guzikowate u rogacza (sarnika). Długość ich bywa różna, bo od 3 do 30 cm. (patrz Altum, Blasius, R. Dombrowski, Raesfeld i inni). Gdy ma mniej więcej rok, zrzuca on tę pierwszą ozdobę, a dostaje nową, pierwsze właściwe rogi w postaci dwóch ostrych, gładkich szpiców: ztąd nazwa takiego jelenia, szpiczak. Ma on wtedy półtora do dwóch lat, a teraz następują okresy widłaka, szóstaka, ósmaka i wieku już oznaczyć według wieńca nie można. „Właściwe rogi“ szpiczaka nazwałem dlatego, że pierwsze nieraz są tak małe, że ich wcale nie widać. Wieku zaś jelenia oznaczyć nie można według wieńca, bo czasami jest on widłakiem dwa lata, szóstakiem znów dwa lata, znów się cofa i jest widłakiem itp. Jeleń bez powodu dla nas wiadomego ma w roku następnym odnóg więcej, niż według teoryi mieć powinien, a więc z dziesiątaka robi się czternastak, lub też cofa się i jest ósmakiem i wtedy jest prawdziwym wstecznikiem. Ta zmiana ilości odnóg znachodzi się we wszystkich okresach, choć zwyczajnie rogale trzymają się teoretycznych zasad i ze szpiczaka robi się widłak, z niego szóstak, dalej ósmak, a teraz dopiero następuje albo dziesiątak, albo znów ósmak. Przyznaję, że nudne są wyliczania tych przykładów, ale to jest konieczność dla zrozumienia całości. To nadmieniam nawiasem i prócz tego jeszcze, że rekordowe strzelanie z ostatnich czasów sprawiło, iż wciąż spotykamy się z wstecznikami, do których materyał muszą dawać liche jelenie; jedyny to motyw do upozorowania strzału. Kto jednak zna się na wieńcach, ten prawdziwego wstecznika, o którym przecież w dzikiej, romantycznej, olbrzymiej knieci karpackiej wiedzieć nie łatwo, czem był w roku zeszłym, odróżni z łatwością od tych wsteczników, które nazwijmy okolicznościowymi. Jest to podobne do historyi, gdzie nadleśniczy widząc dwanaście rogaczy, samych lichych, na rozkładzie podjazdu rekordowego, z całą stanowczością ku radości gościa utrzymuje, że to są same myłkusy. Były to liche widłaki i szpiczaki! Jeleń gruby, stary, ma przedewszystkiem jedną nieomylną oznakę starości, którą nie jest ani wielkość, ani waga, ani grubość, ani rozpiętość wieńca, ale krótkie, grube guzy i starte zęby. Na zębach mało się kto zna.

Nie ma może w żadnej rzeczy takiego bogactwa form, jak w wieńcach jeleni, bo te zależą od wieku, klimatu, od paszy, postoi i od zwierzostanu. Z każdej prawie knieci jelenie są inne, a nawet w tej samej knieci jeszcze inne. Nie dość na tem, że jeleń ma wieniec parzystego lub nieparzystego dziesiątaka, ale jeszcze jedni uważają go za dwunastaka, inni za dziesiątaka, ba nawet czternastaka. Otóż co do tego, to znajduję, że wyjście jest nie trudne, bo tak daleko jesteśmy, że możemy według prawideł teoryi i doświadczenia oznaczyć dokładnie każdego jelenia. Wiemy doskonale, że uperlenie wieńców słabsze jest znacznie w porównaniu z uperleniem porostków. Stąd wynika, że wszelkie wybujałości w formie guziczków, większe od pereł, a znajdujące się na koronie, ponad odnogą średnią, uważać należy stanowczo za odnogi. Wszelkie zaś odnogi i odnóżki, znajdujące się na pniu, poniżej odnogi średniej, lub na jednej z trzech pierwszych odnóg, to jest ocznej, nadocznej i średniej, nie przyczyniają się do zmiany rachunku i są tylko ozdobami wieńca. Przypuśćmy, że mamy wieniec, który na prawym pniu ma sześć odnóg, na lewym również tyle, na odnodze ocznej lewego jednakże znajduje się jeszcze odnóżka 8 cm. długa. Nie zmienia to rachunku i wieniec jest dwunastaka parzystego, a nigdy czternastaka nieparzystego. Przypuśćmy znów, że mamy wieniec, którego prawy pień ma odnóg siedm, to jest trzy pierwsze i cztery w koronie, lewy pięć, między nadoczną zaś i średnią lewego pnia jeszcze jedną odnóżkę 4 cm. długą, jest to zawsze wieniec czternastaka nieparzystego, nigdy zaś szesnastaka. Gdy zaś prawy pień wieńca ma prócz trzech pierwszych odnóg, w koronie pięć pasemek wyraźnych, a szóste w formie gruczołka, większego od perły, lewy zaś 6, jest to ośmnastak nieparzysty.

Do wielkich bałamuctw przyczynia się odnoga nadoczna (Eissprosse), choćby dlatego, że nawet Niemcy nie zgadzają się w tej kwestyi. Jedna grupa przyznaje odnogę nadoczną dziesiątakowi, druga dopiero dwunastakowi. Ta ostatnia motywuje swoje twierdzenie tem, że jeleń starszy wiekiem, narażany jest więcej na walki od młodszego, więc zaopatrzony jest w silniejszą broń, drugą odnogę oczną, to jest nadoczną, na wypadek stracenia ocznej w bójce. Z tem twierdzeniem nie zgadzam się, a to dla tego, że praktyka dawno wyjaśniła, że walczą po części młode jelenie, a co do odnóg utrąconych, to twierdzę, że utrącenie ich w walce do rzadkości należy. Pewnie utrącenie samych koniuszków, które wyglądają wtedy jak rozszczypane, pochodzi z walk, ale walki te, kończące się śmiercią jednego z walczących, należą do wielkich rzadkości. Walka jeleni, to zetknięcie się wieńcami, popychanie i próbowanie sił i obracanie w jednem miejscu dłuższą chwilę, a po tej próbie, słabszy ustępuje i uchodzi z pola walki. Stare, grube jelenie rzadko się rogują, bo i rzadko się spotykają. Będąc z reguły pierwszymi przy łaniach, często wcale nie ryczą, albo bardzo nie wiele, a gdy który z drużbów, niemądry, rozpalony fryc, zanadto się zbliży, wystarcza sam wypad jelenia głównego, dwa podskoki w kierunku natręta, a młodzik zmyka, jak niepyszny. Utrącenie odnóg pochodzi większą częścią z czasów, gdy są jeszcze miękkie, w szypule; wtedy bowiem jeleń w pędzie, zawadzając o gałęzie, z łatwością je odłamuje, spłoszony czy goniony przez psy lub wilki.

Mówiąc znów nawiasem, nieodstrzeliwanie łań, których liczba stanowczo jest za wielka, doprowadzi do degeneracyi naszych kapitalnych, górskich jeleni bardzo niedługo, ale nieodstrzeliwanie prawidłowe cieląt, sprawia, że mamy wielką ilość słabych jeleni równocześnie, które wstępując w stan małżeński za wcześnie, płodzą dekadentów (wsteczniki!). Wracając do rzeczy, przyłączam się do pierwszej grupy, a to dlatego, że natura jest dla mnie najlepszą podstawą do teoryi, a że w naturze widzimy odnogi nadoczne po raz pierwszy u dziesiątaka, większy zaś procent dziesiątaków zabijanych ma odnogę nadoczną lub przynajmniej guz, albo listwę wyraźną, ergo dziesiątakowi liczy się odnoga nadoczna, a nie dwunastakowi dopiero. Prócz tego dziesiątak tworzy koronę, pierwszą koronę, Niemcy zaś nazywają te, które ją mają „Kronenzehner“. Forma korony, czy jak kielich, czy łopata,

jak dłoń lub szufla, to obojętne na razie, są to właściwości kniejowe i rodowe. Chodzi o fakt, że dziesiątak tworzy koronę, dla mnie jeden motyw więcej, że dziesiątakowi należy się odnoga nadoczna. Inna znów rzecz, to niewytwarzanie odnogi nadocznej, przy ograniczeniu się na szyple lub listwie, to jest właściwość niektórych jeleni w niektórych kniejach. Wogóle wieńce z jednej kniei mają typ pokrewny. Szypeł, lub listwę wyraźną istniejącą, stawiam na równi z odnogą. Przykłady: Jeżeli mamy wieniec, który ma odnogę oczną, nadoczną i średnią, a kończy się w jeden szpic, jest to nie ósmak, ale dziesiątak bez korony. Gdy zaś ma odnogę oczną i średnią, a brak nadocznej zupełny, i trzy odnogi w górze, jest to nie dziesiątak, ale ósmak.

Regułą jest, jak wiadomo, że zawsze ten pień, który ma odnóg więcej, decyduje miano jelenia, czy jest takim, czy innym, a niemożliwością oznaczenie jednego pnia n. p. znalezionego, bo mógł to być wieniec nieparzysty i jeden pień uzupełnia drugi. O formach wieńców można pisać tomy, takie tam są nieregularności i niespodzianki, abstrahując od myłkusów rzadkich i perukarzy bardzo rzadkich. W *„Łowcu“* brak jest jednej rzeczy przy opisach polowań na jelenie, to jest fotografii wieńców. Byłoby to bardzo wskazanem; amatorska fotografia tak rozpowszechniona, za mało funkcyonuje na tem polu. Załączona fotografia jest wieńcem ośmnastaka, który niema nadocznych, a na prawym pniu guziołek szósty w koronie, a więc ośmnastak nieparzysty, dla profana czternastak regularny!



Rekapituluję krótko. Do ósmaka niema odnogi nadocznej, rachunek prosty, parzysty lub nieparzysty. Od dziesiątaka w górę liczą się odnogi oczne, nadoczne i średnie, bez względu na to, że ich wyraźnie nie widać. Wszystkie odnogi i wyrostki w koronie plus 3, i to pnia, gdzie ich więcej, pomnożone przez 2 stanowią miano jelenia. Wszystkie inne odnogi między różą a odnogą średnią nie liczą się wcale. W ten sposób nieporozumienia być nie może.

A. hr. Sumiński.

Z obcych światów.

Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej, Edwarda Foà.

(Ciąg dalszy.)

W nocy zwierzęta zmieniają zupełnie swój chód; przypatrują się długo podejrzanym przedmiotom, zatrzymują się, badając okolicę, i węszą, czy niebezpieczeństwa nie ma. Są to okoliczności bardzo sprzyjające myśliwemu, ma czas ochłonąć z pierwszego wrażenia i przygotować się do strzału. Ale prócz tego i upał nieznośny staje się sprzymierzeńcem myśliwego. Wody mało, zwierzę spragnione widzi nieraz niebezpieczeństwo, jakie mu grozi, i ruchem rozpaczliwym rzuca się do jeziora.

Mam jeszcze doskonały reflektor, wysyłacz elektryczny, który rzuca jasny snop światła na ofiarę, a broń moja doskonała, wypróbowana.

Każdy, czytając moje przygotowania, pomyśli, że z każdej wyprawy powracałem z obfitym łupem, bo zwierzyny dużo i okoliczności były sprzyjające. Jednak ze smutkiem przyznać muszę, że działo się wprost przeciwnie.

W latach 1892, 93, 94, 95 i 96 przesiedziałem na czatach 185 nocy, to jest od zachodu słońca aż do świtu; przeciętnie było rocznie 37 nocy, zaczynając od września aż do grudnia. Z tych 37-u nocy miałem:

16 nocy tak zwanych „pustych“, kiedy nic nie widziałem, ani słyszałem. To jest prawie połowa.

6 nocy, gdzie widząc, strzelać nie mogłem.

7 nocy, gdzie strzelając, raniłem, ale zdobyczy znaleźć nie mogłem.

8 nocy, kiedy zabiwszy zwierzynę, znalazłem ją nazajutrz.

A 8 dni dobrych! ośm dni dobrych na 37 złych, to trochę za mało. Cieszyłem się i tem, bo zdobycz nasza była zawsze wspaniała i opłacała sowicie moje trudy.

Przychodziły nieraz chwile zniechęcenia.

Ileż to razy, po nocy spędzonej wśród obaw i niebezpieczeństw, niczem niewynagrodzonych, wracałem do obozu zły, zmęczony, rzucałem strzelbę, mówiąc:

— Dość już mam tego, więcej nie pójdę.

A jednak z nadejściem nocy coś mnie pchało, ciągnęło, nie mogłem w obozie wysiedzieć i wychodziłem zająć moje stanowisko. Jest coś w łowach nocnych, co pociąga, nęci, ma swój odrębny urok i czy to nadzwyczajna cisza, czy pełne niepokoju oczekiwanie, ale coś pcha do nich, coś zawsze pociąga.

Opowiem teraz kilka zdarzeń z roku 1895, zacznę naturalnie od polowań, gdzie trudy moje uwieńczone były pomyślnym skutkiem. Omijać będę starannie wszystkie wyprawy nieudane, aby nie nudzić czytelnika niepowodzeniami myśliwego.

Pierwsze noce w roku 1895 zaliczyć mogę do mniej przyjemnych.

Tańcowałem ze zwierzyną ciągle „chassé-croisé“, to jest, że gdy ja z moimi ludźmi udałem się do jeziorka północnego, ona poszła do południowego, gdy ja do południowego, ona do północnego. Powtarzało się to dość długo, tak, że zaczynało mnie już niecierpliwić, ale myśl, że z czasem to położenie się zmieni, pocieszała mnie.

Zwierzyna, pijąca wodę z okolicznych jezior, składała się: z dwóch nosorożców, lwa olbrzymiego samotnika,

pary lwów i jeszcze całej rodziny, składającej się z lwa samca i dwóch samic.

Jak dotąd, wszystkie te zwierzęta nie mają uprzywilejowanego poiska, lecz znając dobrze okolicę, wędrują od jednego jeziorka do drugiego, codzień gdzieindziej, co nam niezmiernie utrudnia wycieczkę.

Postanawiam jednak wykraść się z Tambariką i Kambombem nad jeziorko południowe. Po zachodzie słońca, nim księżyc zejdzie (a wschodzi zawsze koło dziewiątej), panują straszne ciemności. Kryjówka nasza leży u stóp mrowiska, na lewo jeziorka, o jakich dziesięć metrów od brzegu i na wzniesieniu.

Z broni mam tak: expres nr. 2, nabity dwiema lanemi kulami, na lwa, z wysyłaczem elektrycznym, prócz tego expres nr. 1, nabity dwoma pełnemi kulami. na nosorożca, pod ręką zaś nieodłączny winchester z dwoma nabojami sarniego śrutu, w razie potyczki oko w oko.

Moi ludzie mają kaliber 303 i karabin Martini dla wszelkiego bezpieczeństwa. Stos elektryczny umieszczony jest tuż za mną, a właściwie przymocowany do słupa, aby w razie jakiegoś ruchu nie został zniszczony.

Od kwadransa zaległy zupełne ciemności. Zanim księżyc zejdzie, lunetą posługiwać się nie można. Tylko gładka tafla wody połyskuje wśród ciemności, a dalej wszystko się zlewa w jedną czarną masę, tak, że ani krzewu, ani drzewa rozróżnić niepodobna. Cisza głęboka, żadnego szelestu. Od czasu do czasu ryba rzuci się w wodzie, a plusk rozchodzi się daleko, to znów świerszcz się odezwie i znów umilknie.

Naraz od jeziorka dochodzi nas głos inny: koum, koum, koum, koum! Trącamy się łokciami, serca nam biją gwałtownie; to lew pije wodę. Dźwięk ten charakterystyczny koum, koum, wydaje gardłem, pijąc łapczywie wodę. Czas jakiś dochodzą nas te dźwięki, potem milkną. Nic nie widać! Lufę expresu zniżam w kierunku usłyszanych dźwięków. Spieszyć się nie mam potrzeby. Nastawiam reflektor elektryczny i jasny snop promieni rozprasza ciemność, w tem świetle ujrzałem dwa lwy przyczajone, na podobieństwo kotów, z tej samej strony jeziorka, co i my. Zwierzęta zwróciły łby w stronę światła, widzę doskonale ich ślepia jarzące i sierć prawie białą; patrzą uparcie w naszą stronę. Na nieszczęście, reflektor mój jest źle nastawiony, bo oświetla brzuch lwa, a ja mierzę w szyję. Przez sekundę namyślam się, co mam robić: zgasić światło, czy nie? W ciemnościach zostać niepodobna! Odpowiedzią na strzał był ryk głuchy, przeraźliwy, powtarzający się kilkakrotnie; w świetle zobaczyłem lwa, wijącego się na ziemi. Naraz zrywa się i usiłuje wdrapać na nadbrzeżne wzgórze; chcąc temu przeszkodzić, strzelam raz, drugi i pudłuję. Lew z trudnością wdrapał się na wzgórze i znikł w ciemnościach. Kieruję reflektor na wszystkie strony, szukam ofiary — daremnie, prócz drzew i krzewów, nic nie widzę.

Czekam i nasłuchuję, naraz słyszę w pobliżu ryk lwa. Gaszę światło i z niepokojem nasłuchuję każdego szelestu. Słyszę drugi i trzeci ryk tuż za nami, biorę karabin i z ręką na cynglu wyczekuję. Mija godzina, słyszę znów pomruk, słabszy już, podobny do jęku lub skargi, wychodzi on z tego samego miejsca, co poprzedni, zatem, o radości, lew ranny, już nam nie ucieknie. Nie ruszamy się jednak ze stanowiska, czekamy rana.

Księżyc ukazał się na niebie, przy jego blasku widzimy antylopy, zbliżające się do wody; musiały widocznie nas zwęszyć, bo nie doszedłszy do jeziorka, zawróciły nagle i lekko, zwinnie umknęły.

Godziny wloką się nam nieznośnie, od czasu do czasu słyszymy jęki lwa coraz cichsze, coraz słabsze, a potem wszystko milknie. Świtać zaczęło. Ludzie moi ze szczytu mrowiska upatrują ofiary, ale nadaremnie.

Trzeba czekać dnia, aby rozpocząć poszukiwania. Gdy nadszedł dzień, Kambombe wdrapał się na najbliższe drzewo, rozejrzał dokoła i daje nam znaki. Lew leży o jakie dwadzieścia metrów pod krzakiem, widać tylko tylne łapy i ogon, zwierz nie rusza się wcale. Przybliżam się do niego na dziesięć metrów, łba nie widzę, bo schowany w gałęziach, a reszta tułowiu widoczna. Przyczajam się za krzakiem, badam przez lunetę, czy bokami nie robi, żadnego ruchu, żadnego oddechu nie widać. Każę rzucić bryłkę ziemi (to próba ostateczna), lecz i tym razem zwierz leży bez ruchu. Strzał mój był dobry, śmiertelny, zabiłem przepysznego lwa bez grzywy.

Kula przeszyła mu krzyż, albo go mocno nadwerężyła, bo mógł zaledwie kilkanaście kroków postąpić, a potem padł; płuca i wątrobę ma też przestrzelone. Drugiego strzału ani śladu.

Po dokonanych oględzinach podnoszę się i spostrzegam gromadkę ludzi, to posiłki z obozu. Pomimo znacznego oddalenia, wśród nocnej ciszy, usłyszano moje wystrzały i poczciwy Bertrand przysyła dowiedzieć się, co u nas słychać.

Przydali nam się ludzie, zabrali lwa do obozu, a w dwie godziny później skóra, starannie oczyszczona i rozciągnięta na dwóch prętach stalowych, suszy się na słońcu.

Czaszkę zakopano w ziemi, aby mięso prędzej uległo zepsuciu i odpadło. Po zbadaniu żołądka, który zawiera tylko szczątki zebry, cały szkielet zaniesiono daleko od obozu i rzucono na pastwę sępom.

Teraz następuje szereg nocy tak zwanych „pustych“, z powodu zupełnego braku zwierzyny. Nareszcie pewnego wieczora, przy jeziorku północnem, zjawia się nosorożec, krąży naokoło czas jakiś a potem umyka, zrobiwszy nam tylko oskomę. Obawa zwierza jest silniejsza, niż pragnienie.

Księżyc świeci w całej pełni, mam niekłamaną ochotę urządzić pogoń za nosorożcem, ale zważywszy na grożące nam niebezpieczeństwa, zamiaru zaniechałem. Napad rozjuszonego zwierza, nawet w poetycznem oświetleniu, bynajmniej mi się nie uśmiecha. Niech sobie nosorożec umyka zdrowo i cało. Widzę tylko, jak uchodząc drepcze, chrząkając i węsząc od czasu do czasu, jakby chciał powiedzieć: „Coś mi się tu niepodoba!“ Zapewne liczne ślady stóp ludzi moich musiały mu strachu napędzić.

Na przyszłość należy unikać częstych przechadzek nad jeziorkami, bo nosorożce mają węch nadzwyczaj rozwinięty i ślady ludzkie poczują odrazu. Stąd nauka, jak mamy zachowywać się nadal. Odtąd tropownicy odbywają swe pochody „gęsiego“, to jest jeden za drugim, a przybywszy nad jeziorko, włażą w wodę i brodząc dokoła, upatrują trupów. Po dokonanym przeglądzie, wracają gęsiego do obozu, tym sposobem utworzył się tylko jeden szlak do każdego jeziora, po którym odbywają się pochody.

Pewnego wieczoru zaczailiśmy się przy małem jeziorku, które jest niezmiernie długie i wąskie. Na jednym brzegu, w samym środku urządzamy nasze stanowisko; za kryjówkę służy nam duże mrowisko tuż nad brze-

giem jeziorka. W tem miejscu brzeg jest dość wysoki i stromy; dla ułatwienia sobie ucieczki, wykopujemy u stóp mrowiska wgłębienia, coś w rodzaju schodów, aby dostęp do wody był łatwiejszy. Naprzeciw nas, na jakie 5, czy 6 metrów, widnieje brzeg przeciwny, dostać się tam łatwo, bo ziemia w łagodnym spadku schodzi aż do powierzchni wody, dalej, jak okiem rzucić, ciągnie się równina, porośnięta gdzieniegdzie drzewami i gęstą krzewiną. Wrazie groźnego niebezpieczeństwa wskoczymy do wody i naprzełaj puścimy się do drugiego brzegu. Raz się tam dostawszy, dopadniemy najbliższego drzewa i w gałęziach jego poszukamy kryjówki. Przypuszczam, że nosorożec za nami drapać się nie będzie, bo jest tak ciężki i niezdarny, że nawet rowu przeskoczyć nie potrafi, musi więc dokoła okrążyć jeziorko, a my przez ten czas ochłoniemy z pierwszego wrażenia.

Cały ten manewr był obmyślony przez Rodzaniego, który zaraz na wstępie dał nam stosowne po temu wskazówki. Już szóstą noc przesiedzieliśmy bez żadnego rezultatu; jakkolwiek przychodziły, mnogie zwierzęta nad jeziorko i gasiły pragnienie na przeciwnym brzegu.

Były tam i bawoły, i zwinne antylopy, lecz dla nas z tego korzyść chyba taka, że za zbliżeniem się każdej zwierzyny przechodziliśmy coraz inne wzruszenia. Zwierzęta nie piły wody po naszej stronie. Brzeg nasz jest stromy i wysoki, a zwierzęta tego nie lubią, bo zszedłszy na dół do wody, nie widzą okolicy, a więc i grożącego niebezpieczeństwa. My jednak nie zmienialiśmy stanowiska i, jak się potem okazało, bardzo słusznie, bo nosorożec ma inne zwyczaje.

Jednego wieczora, jak powiedziałem wyżej, robimy zasadzkę. Pierwsza godzina upływa spokojnie, chociaż nie ma księżyca, noc jest względnie jasna, bo gwiaździsta. Za nami o jakich 200 metrów ciągnie się dawne łożysko rzeki, nawpół zarzucone suchymi liśćmi. Dla nas to okoliczność sprzyjająca, bo każdy najmniejszy szelest dochodzi uszu naszych.

Już od czterech dni nosorożec nie odwiedzał tych stron, może dziś przyjdzie? Cisza nocna, monotonność oczekiwania i zmęczenie, źle na mnie oddziaływają, jestem znużony i senny, jeszcze chwila, a zdrzemnę się na dobre. Piękna historya! Dla rozbudzenia wypijam dwie szklanki wody, jedną po drugiej i przecieram oczy.

Ludzie moi, milczący i nieruchomi, stoją jak posągi, patrząc niespokojnie dokoła. Od czasu do czasu trącają mnie tylko i wskazują jakiś ciemny przedmiot, co zwrócił ich uwagę; chwytam wtedy lunetę i po ruchach więcej, niż po wyglądzie, poznaję zbliżającego się zwierza: już to hyenę, którą poznać łatwo po spadzistym i ściętym grzbiecie, już też antylopę, co przemyka się jak cień bez szelestu, czasem przystanie i znów mknie dalej. Potem wszystko znika i zostaje tylko cisza bezmierna, niczem niezmącona.

Jednem z największych umartwień podczas nocnych zasadzek jest to, że palić nie można. Ach, ileżby się godziny wydawały krótsze, a oczekiwanie mniej nudne, gdyby zasiąść można wygodnie i wypalić fajeczkę!

Ale my podobno i tak już dosyć „pachniemy“ (dla nosów zwierzęcych i Chińczyków), więc mieszać do naszego właściwego zapachu jeszcze zapach dymu, byłoby dla nas wielce niepraktyczne, a może i zgubne.

Około jedenastej słyszymy jakiś szelest od strony łożyska rzeki, tak, jakby ktoś suche liście dobrze miotłą zamiatał. Rozbudziłem się w jednej chwili.

Nasłuchuję z niepokojem, widocznie jakiś gruby zwierz się zbliża, bo słychać ciężkie stąpanie... i chrzęst liści na lewo od nas. Naraz potężny ryk, jak świst lokomotywy, rozdarł powietrze. To nosorożec! Tak! nie mylę się, znam dobrze ten głos, zwierz przybywa zupełnie niespodzianie; oczekiwaliśmy go z innej strony. Z niepokojem myślę o tem, czy nas zwietrzył, czy nie? za parę sekund będziemy wiedzieli. Po chwili szybki tętent kopyt, wściekłe sapanie i ryki, chrzęst łamanych gałęzi, uprzedzają nas, że nie ma czasu do stracenia. W jednej chwili opuszczamy nasze stanowisko i po wyżłobionych stopniach zsuwamy się do jeziora. Woda sięga nam do pasa, zimno, śpieszymy się i w kilku skokach jesteśmy już u drugiego brzegu. Wyskakujemy na ląd i co sił starczy pędzimy pod opiekuńcze drzewo, tam dopiero zatrzymaliśmy się i nasłuchujemy, co robi nosorożec.

Swoją drogą musimy zabawnie wyglądać z naszymi bagażami: jeden z moich czarnych ma przerzuconą przez ramię pelerynę, co mu nadaje pozór buńczuczny, w jednej ręce trzyma butelkę wody, a w drugiej stos elektryczny; Rodzani w obu rękach, wysoko nad głową wzniesionych, trzyma strzelbę, ja czynię to samo. Nie potrzeba dodawać, że w chwili ostatecznego niebezpieczeństwa jesteśmy gotowi rzucić wszystko i umykać, co sił starczy. Teraz jeszcze nic nam nie grozi, nosorożec, dobiegłszy do kopca z sapaniem i świstem, stracił nasz wiatr. Ale gdzie jest teraz?

Nie widać go, trzeba go odnaleźć.

C. d. n.

Sprawozdania delegatów.

Z powiatu liskiego.

Mianowany rok temu, delegatem Towarzystwa łowieckiego na powiat liski, oczekiwałem zapowiedzianej przez Wydział centralny, nowej organizacyi delegatów powiatowych; dlatego też nie przedsięwziąłem szerszej akcyi w celu podniesienia łowiectwa w naszym powiecie.

Dziś chcę skreślić stosunki łowieckie z pow. liskiego, które niestety, nie wesoło się przedstawiają.

Powiat liski, jeden z większych w kraju, rozciągający się od granicy węgierskiej do równin nad Sanem, zwanych „Podolem sanockiem“, mógłby pod względem łowieckim, zająć jedno z pierwszych miejsc w kraju, na obszarze bowiem swoim ma odpowiednie knieje dla najróżnorodniejszej zwierzyny.

Z grubej zwierzyny, nie rzadko spotkać można w górach nad granicą węgierską, niedźwiedzia i rysia, a ten ostatni zapuszcza się nawet w doliny podczas zawalnych zim.

Jelenie, które do niedawna trzymały się tylko w górach, nad granicą węgierską, od kilku lat zeszły w doliny, gdzie już stale się trzymają; w roku bieżącym odbywało się zupełnie prawidłowo rykowisko, w lasach należących do dóbr Lesko, a leżących bezpośrednio koło powiatowego miasta Liska. Stan jeleni jest też dość znaczny, i stale się powiększa.

Sarny, których stan w niektórych miejscowościach jest nienajgorszy, niestety z powodu „różnych“ przyczyn

nie są tak liczne, jakby być powinny, a knieje w pow. liskim są dla nich bardzo odpowiednie.

Zajęcy tu dużo nigdy być nie może, a obecnie jest ich bardzo mało; lasy przeważnie jodłowe, wysoko położone nie są odpowiednie dla zajęcy, w polach zaś, z powodu, że mało ozimin tu sieją, zające nie mają pożywienia.

Kuropatw jest bardzo mało, i to tylko w górzystej części powiatu.

Jarząbków zato jest dość dużo, a gdzie szkodniki są tępione, stan ich się powiększa.

Lisy mają tu swoją prawdziwą ojczyznę. Głębokie jamy w górach, wśród lasów, są dla nich bezpiecznemi twierdzami; tu też w licznych norach się rozmnażają. Ilość ich też jest bardzo wielka, co w pogodne dnie zimowe można skonstatować, gdy myszkują na polach, śniegiem pokrytych.

Jak wynika z powyższego opisu, nienajgorzej by tu było, gdyby nie bardzo smutne stosunki pod względem myśliwskim w naszym powiecie.

Powodem tego głównie to, że nie ma w naszym powiecie myśliwych; myśliwym nazywam zaś tego, który nie tylko poluje u siebie lub u sąsiadów, ale stara się o podniesienie zwierzostanu. Dla wyjaśnienia zaś muszę dodać, że większa własność zmienia tu bardzo często właścicieli, część znowu znaczna, jest w rękach żydowskich, wobec tego prawdziwych myśliwych jest bardzo mało.

Drugim powodem, jest bezsprzecznie, zakorzeniony tu starodawny zwyczaj polowania z psami gończymi.

Ładne to polowanie i ma dużo w sobie poezyi; ale każdy przyzna, że gdzie cokolwiek jest lepszy stan zwierzyny, a do tego w kniei są jelenie, tam polowanie z psami powinno być zaniechane.

Niestety trafiają się i tacy myśliwi, którzy podczas rykowiska psy puszczają, i z pieskiem na jelenie polują.

Kłusownictwo nie jest bardzo rozszerzone, a szczególniej w tych miejscowościach, gdzie właściciel ma dobrze zorganizowaną straż leśną. Zato w miejscowościach, gdzie właściciel nie jest myśliwym, a także w majątkach, znajdujących się w rękach żydowskich, sprawa ta gorzej się przedstawia.

Apelując do Świetnego Wydziału Tow. Łowieckiego o jak najprędszą akcyę w celu dania delegatom szerszego pola działania, kończę moje sprawozdanie z nadzieją, że za rok będę się mógł spodziewać rezultatu mojej pracy, na polu podniesienia racyonalnego łowiectwa.

August hr. Krasicki,
delegat liski.

Korespondencye.

Rozhadów obok Pomorzan 10. grudnia 1903.

Do poprzednio wykazanych wypadków wścieklizny lisów donoszę jeszcze o następnych.

Wścieklizna lisów obecnie jest w rewirze Rozhadów, dobrach pomorzańskich Jego Ekscelencyi Romana hr. Potockiego i w rewirze Koniuchy, dobrach brzeżańskich Jakóba hr. Potockiego. Prosiłem leśniczego skarbu brzeżańskiego p. Franciszka Bittnera, by mi o wypadkach wścieklizny w tamtych lasach doniósł, bym mógł wspólnie z mojemi spostrzeżeniami donieść Redakcyi i podać te wypadki do publicznej wiadomości. Leśniczy skarbu brzeżańskiego p. Bittner donosi mi następnie:

„Że wścieklizna między lisami w moim rewirze grasuje, dowodem tego jest 7 pewnych, a 3 niepewne wypadki, a mianowicie:

1). Na podwórze do dozorcy lasowego Podwińskiego wpadł lis i rzucał się na sługę. Na krzyk jej przybiegł dozorca Podwiński i poszczuł dużego swego psa. Ten zamiast atakować, począł uciekać w las. a lis za nim. Niemogąc psa dopędzić, wrócił na podwórze, co widząc Podwiński, chwycił widły uderzył lisa w głowę i uśmiercił. Lis ten był zupełnie suchy, prawie skóra i kości.

2). U drugiego dozorcy wpadł również lis na podwórze w biały dzień i żarł się z psem, co widząc dozorca, chwycił kół i zabił go. Lis ten również wycieńczony

3). Dozorca lasowy Podwiński, idąc na leśnictwo po dyspozycyę, zobaczył lisa pędzącego wprost na niego. Gdy lis już był blisko, rzucił dozorca na niego kawał podniesionego patyka. Lis zaczął ten patyk gryźć, z czego skorzystał dozorca i wylazł na stos. W tej chwili przybliżył się lis do stosu, skąd dozorca celnym rzutem polana ugodził lisa w głowę tak, że mu mózg wyskoczył

4). Na gminnem pastwisku w Koniuchach pasł się koń. Z lasu wypadł lis i począł konia atakować. Ten przystąpić do siebie nie dał, wierzgając nogami. Na to nadchodzi gajowy, przybliżył się na 3 kroki i celnym strzałem z rewolweru lisa położył. (Straż w brzeżańskim skarbie nie nosi strzelb, tylko rewolwery.

5). Na włościańskie podwórze w Koniuchach wpadł lis i pokąsał wieprza. Na krzyk dzieci i włościan lis umknął.

6). We wsi Byszkach wpadł lis na podwórze chłopskie. Pies widząc lisa, umknął do sieni, a lis za nim i tu zaczęli się kąsać. Psa i lisa równocześnie włościanie zabili.

7). Na chłopskie podwórze w Byszkach, w dzień wpadł również lis — a na krzyk gospodarza umknął.

8). Do stodoły żydowskiej w Koniuchach wpadł lis chudy, żydzi się zbiegli i lisa zabili.

9). Tydzień temu w czasie mej nieobecności w domu, wpadł w samo południe lis na ogródek i kręcił się przed kuchennemi oknami, co widząc służba uzbrojona w tasaki i kociuby, lisa odpędziła.

10). Wracając z lasu we środę, znalazłem lisa nieżywego niedaleko leśnictwa. Najmniejszego śladu strzału nie było, tylko zbłocony i strasznie wymizerowany.

Wypadki pod l. 7, 8, 9. nie dają pewności, czy lisy istotnie wściekłe były, natomiast reszta wypadków wymownie świadczy, że epidemia się szerzy. Wszystkie te wypadki zdarzyły się w przeciągu $1\frac{1}{2}$ miesiąca“.

Gdyby nastąpiły świeże wypadki wścieklizny, obiecał mi p. leśniczy Bittner donieść o nich.

Do tych wypadków wścieklizny lisów z lasów skarbu brzeżańskiego, w rewirze Koniucha, dodam jeszcze 2 świeżo zaszłe wypadki w dobrach pomorzańskich. 4. grudnia wpadł rano lis wychudzony na podwórze nadzorcy lasów Jana Mustafagi — szukając drobiu lub psa, by mógł ich pokąsać. Zobaczył to nadzorca i pobiegł do domu po strzelbę. Lis wcale nie uciekał, tylko się stawiał — ten strzelił do niego może na 2 kroki — i chybił. Lis po strzale nie uciekał jak zwykle, tylko się kręcił popod obrogiem i budynkami i nadzorca strzelał do niego drugi raz znowu, może na 2 kroki i znowu chybił. Były to

strzały gorączkowe i bliskie, a pomimo że nadzorca dobrze strzela, chybił zdaje się obydwa razy, bo lis oddalił się potem wolno do lasu.

8-go grudnia w dzień, kąsały się 2 lisy na ogrodzie u tego samego nadzorcy, który był w domu nieobecny. Zobaczył to 17-letni syn jego i wypadł ze strzelbą pojedynką na ogród, by do lisów strzelić. Dubeltówki nie miał pod ręką, bo ojciec zabrał ją idąc do służby. Strzelił do lisów. Po strzale jeden lis biegnie do niego i chce go kąsać. Młody chłopiec nadzorcy obrócił strzelbę a wziąwszy lufę w rękę, uderzył atakującego go lisa łożyskiem (kolbą) od strzelby. Zabił go, lecz i strzelbę złamał. Lis był wychudzony i bezwarunkowo wściekły, bo po strzale atakował człowieka. Prawdopodobnie więc, wścieklizna jeszcze dalej trwać będzie, a wobec ładnego stanu sarn. i sarny, zwłaszcza w nocy mogą być przez lisy pokąsane, Obawiam się by, nie ginęły od ukąszenia wściekłych lisów.

Jeżeli zajdą jakie nowe wypadki wścieklizny lisów, nie omieszkam Redakcyi donieść. Upraszam również braci myśliwych w powiecie złoczowskim, by baczną zwracali uwagę na tę epidemię i o wypadkach prawdziwych i sprawdzonych uwiadomiali Redakcyę *Łowca*, a tem samem ogłaszali je publicznie. U nas mgły, słoty i błoto, pora do influenzy, katarów i innych chorób, a każdy myśliwy prosi, by św. Hubert zesłał nam białe całuny śniegu, to i serce myśliwego raźniej na śnieżnej, białej karcie czyta i widzi swój całoroczny dorobek i trud około wychowania zwierzyny. Braciom myśliwym ślę wyrazy pozdrowienia!

Stanisław Graff.

Dąbrowa, d. 10. grudnia 1903.

Ostatniego listopada i 1-go grudnia polowaliśmy w 8 strzelb. w Zagrobeli pod Tarnopolem.

Polowanie w Zagrobeli wydzierżawił nam Ordynat Czarkowski na 6 lat, zawiązaliśmy spółkę myśliwską, złożoną z 7-miu członków i po pierwszy raz spróbowaliśmy tam szczęścia łowieckiego.

Właściciel od czterech lat nie polował w Zagrobeli, pozwalał natomiast znajomym polować na podjazdy — z tego rezultat był taki, że rogaczy zabito trochę za wiele, lisy zaś się rozmnożyły i stan zajęcy na tem ucierpiał.

Oczywiście rozkład był o wiele mniejszy od preliminarza, gdyż knieja ta miała przedtem zwierzostan bardzo ładny. Zabiliśmy 10 rogaczy, 11 lisów i 90 zajęcy.

Mamy jednak nadzieję, że za parę lat polowanie się znacznie poprawi, bo warunki dla hodowli zwierzyny są znakomite, potrzeba tylko zainteresować straż łowiecką, wytępić lisy i żywić zwierzynę, a to wszystko zarządzono.

R. Wojciechowski.

Nikłowice, dnia 14. grudnia 1903.

W pierwszych dniach grudnia br. odbyło się polowanie w dobrach Bienkowa Wisznia-Nikłowice, w majątku Aleksandrów hr. Skarbków, w strzelb 12-ście.

Jakkolwiek trafiono na czas wśród wiosennego ciepła i na czarnej stopie, zając był przeważnie w polu — a ten który został w lesie, wolał przebić się przez pogonkę, jak dojść do linii myśliwych wiedząc, że tam niepewny życia, — rogacze biorąc przykład od zajęcy to samo robiły, pomimo tego rezultat dość dobry, padło 16 rogaczy, 13 lisów, 61 zajęcy na 241 strzałów. Mogło paść drugie tyle przy lepszym czasie.

Polowaniu, które było prowadzone szybko, sprężyście, z wielką znajomością kniei, przewodniczył sam gospodarz A. hr. Skarbek. Nagonka zbieranina z kilku wsi, same prawie dzieciaki, była dość wzorowo prowadzona przez straż leśną.

Muszę tu dodać, że przed tem polowano w małych i dalszych częściach lasu i w rewirach i że padły 4 rogacze, 14 lisów, 24 zajęcy, 17 słonek, razem 20 rogaczy, 27 lisów, 85 zajęcy, 17 słonek. Jeden rewir lasu do 300-morgowy nieopolowany. Hr. Skarbek zamiłowany myśliwy stara się, ażeby zwierzynę należycie pielęgnować i ochraniać, przez to doprowadził stan sarn taki, że z kulturami leśnemi już zaczyna być źle, — a co dalej będzie?

Kuropatw było kilka stadek, jednak nie tak, jak zwykle po kilkanaście, ale po kilka sztuk w stadku.

Przepiórek w lecie nie widziano.

F. J. W.

Wysock, d. 17. grudnia 1903.

W dobrach Wysock, hrabiów Zamoyskich, odbyło się w dniach 14. i 15. grudnia polowanie w polach; w ośm strzelb ubito 914 zajęcy, rogacza i lisa. Królem polowania był hrabia Ksawery Branicki.

Dąbrowa, dnia 18. grudnia 1993.

Dnia 15-go i 16-go grudnia odbyło się polowanie w dobrach Barona Konopki w Brniu. — Pierwszego dnia w polach w 9 strzelb, zaś drugiego dnia w lesie w 8 strzelb. — Ogólny rezultat był na rozkładzie 5 rogaczy, 2 lisy, 156 zajęcy.

Tegoroczna mokra wiosna i lato przyczyniły się niezawodnie do wielkiego ubytku zajęcy i kuropatw Stan sarn natomiast jest bardzo piękny, tylko bardzo wiele rogaczy wskutek rozmaitych przyczyn wyszło cało na polowaniu. — Bażanty wcale do strzału nie przyszły, gdyż wracały na pogonkę.

P. T.



Sprawy Towarzystwa.

Posiedzenie Wydziału Towarzystwa z d. 18. grudnia 1903.

Przewodniczy: hr. Stanisław Stadnicki, obecni wiceprezesowie hr. Juliusz Bielski i p. Seweryn Krogulski, członkowie pp. Jan Czeżowski, Antoni Goralczyk, Maryan Hamerski, Stanisław Matkowski, Stanisław Mizicwicz, hr. Stanisław Mycielski. Członkowie pp. Tadeusz Klusik-Orzechowski i dr. Władysław Sołowij usprawiedliwili nieobecność. Po odczytaniu i przyjęciu protokołu ostatniego posiedzenia, zdaje wiceprezes Krogulski sprawę z czynności biura i zawiadamia, że wszystkie sprawy, polecone biuru od czasu ostatniego posiedzenia zo-

stały załatwione. Następnie przedstawia stan kasy, który uznano za bardzo pomyślny. Dawne zaległości ściągano sądownie a mianowicie od 51 członków. Ściągnięto już od 41 członków zaległości. Prawie bez wyjątku członkowie, wobec których Wydział ku wielkiej swojej przykrości, wystąpić z procesem musiał, pozostali nadal członkami, co świadczy o tem, że usprawiedliwili Wydział. Zachowanie się to przynosi chlubę tym członkom. Następnie wprowadza przewodniczący sprawę redakcyi „Łowca“. P. Miziewicz oświadcza, że z wielką przykrością musi prosić o uwolnienie go od obowiązku redagowania „Łowca“ i to dla dobra „Łowca“ — pomimo bowiem najlepszych chęci, nie może wobec swoich zajęć zawodowych, poświęcać „Łowcowi“ tyle czasu i sił, ile pismo takie ich wymaga. Oświadcza jednak, że aż do decyzyi Wydziału w tej sprawie, obowiązki swoje spełniać będzie, nie chce bowiem zmuszać Wydziału do powzięcia decyzyi nagle i bez przygotowania. Po długiej dyskusyi, w której zabierali głos wszyscy obecni członkowie, a wśród której hr. Bielski i p. Krogulski podnieśli zasługi p. Miziewicza dla wydawnictwa „Łowca“, uchwalono prosić p. Miziewicza, aby na najbliższe posiedzenie przedłożył konkretny wniosek w sprawie zmiany redakcyi.

O stanie starań celem uzyskania należącej się łowiectwu pomocy ze strony kraju, zdaje sprawę Przewodniczący, zawiadamiając zarazem Wydział, że sprawa ta stoi na porządku dziennym posiedzenia krajowej komisyi rolniczej, mającego się odbyć dnia 21. bm. Ponieważ nie nadeszły wszystkie odpowiedzi w sprawie uzupełnienia grona delegatów, postanowiono sprawę nominacyi załatwić na najbliższej sesyi co do tych powiatów, dla których już nadeszły propozycye. Następnie w dziewięciu sprawach uchwalono opinie, jakie mają być zakomunikowane władzom co do odstrzeliwania siut lub łań. Na wniosek p. Krogulskiego uchwalił Wydział, aby w wypadkach, gdy władze zażądają od Towarzystwa opinii co do odstrzeliwania łań i siut, w razie potrzeby pośpiechu, wydawano te opinie *ex praesidio*, stosując się do zasad przez Wydział przy uchwalaniu tych opinii uwzględnianych. Na tem zakończono.

Drobne ogłoszenia.

Leśnik z niższym państwowym egzaminem, piętnastoletnią praktyką zawodową w lasach prywatnych, obznajomiony z miernictwem i dobry myśliwy, pozostający na posadzie, pragnałby takową zmienić zaraz, lub od 1. kwietnia 1904 r. — „Leśnik poste-rest.: Błudniki obok Halicza.“

Poszukuję wyżła najdokładniej tresowanego w trzecim polu. Bliższe wiadomości i łaskawe zgłoszenia pod A. S. post restante p. Wojciechowice.

Dwie pary rogów z koziorożca w pięknej oprawie do sprzedania. Bliższa wiadomość: Lwów, ulica Nowy Świat l. 1 II. p. drzwi 12.

Znakomitą dubeltówkę rusznikarską sprzedam. Cena 150 koron. „Hubert“ poste restante Lwów.

Kalendarzyk bankowy wysyłamy bezpłatnie Polecamy naszą firmę do wszelkich transakcyi, wchodzących w zakres bankowy, Schütz i Chajes, Dom bankowy, Lwów, plac Maryacki 7.

Do sprzedania. Dubeltówka systemu Lancastra kaliber 12. Nowotnego karabinek repetierowy „Manlicher“ pięciostrzałowy o kalibrze 8 m/m z wyborną lunetą wyrób Spingera.

Podwójny „Express“ z lunetą — ostrzelany z nadzwyczajną precyzyą. — 1 pistolet mistrzowski i 1 pistolet tarczowy, wszystka broń również wyrobu Springera — bliższej wiadomości udzieli Gustaw Müller, Tarnopol.

Kupuje wszelkiego rodzaju zwierzynę, bez różnicy pory

zające	sztuka	zł.	1·—
rogacze	kilogram	„	—·40
dziki warchlaki od 15 kilo do 35 kilo		„	—·25 kilo
dziki średnie „ 35 „ „ 45 „		„	—·20 „
dziki duże „ 45 „ wyżej		„	—·10 „
bażanty	sztuka	„	1·20
jarząbki	„	„	—·90
słonki	„	„	—·90
kuropatwy	„	„	—·55
kaczki dzikie	„	„	—·50

Michał Krzywda pasaż Andriollego, Rynek 29.

! Ważne dla P. P. myśliwych!

Rozporządzeniem Wysokiego ces. król. Ministerstwa wojny, oddział VII do l. 744 z dnia 6. maja 1902 roku, otrzymał podpisany, przy swojej dotychczasowej licencyi na sprzedaż prochu austryackiego również

wyłączną sprzedaż

— dla —

GALICYI i BUKOWINY

zagranicznych gatunków prochu i patronów

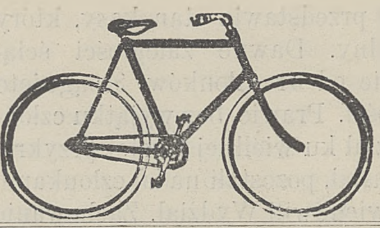
dla wszelkiego rodzaju broni kulowej i śrótowej.

Wszelkie zamówienia z dokładnem podaniem gatunku, kalibru i systemu, **z dołączeniem stosownego zadatku**, będą wykonywane o ile możności jak najspieszniej.

Alfred Dzikowski

c. k. nadworny dostawca

we Lwowie ul. Karola Ludwika 1



Rowery z pierwszorzędnych fabryk krajowych i zagranicznych, odznaczają się nadzwyczajną trwałością i lekkim chodem.

Rowery z motorem „Republic“, znacznie ulepszone, o sile $1\frac{1}{4}$—3 HP. od 850—1350 K.

Latarnie acetylenowe do rowerów i powozów, całkiem bezpieczne, pod gwarancyą od 7—50 Kor.

i **LAWN TENIS** poleca najtańszy handel towarów sportowych

Władysława Łukasiewicza

LWÓW, AKADEMICKA 26.

Prospekty bezpłatnie. Prospekty bezpłatnie.

Jedyny rzeczywisty import herbaty!

Handel herbaty chińskiej

Edmunda Riedla

we Lwowie, ulica Teatralna liczba 3.

(druga kamienica od placu Maryackiego)

poleca



HERBATĘ

zbioru majowego bezpośrednio z Chin sprowadzoną, ciemno naciągającą, z wybornym smakiem i aromatyczną wonią,

½ kilo:

Congo czarna	1	Nr.	1·60
Souchong czarna	2	„	2—
„ „ zbiór majowy	3	„	3·—
Kaysow czarna	4	„	4·—
Melange de Londres	5	„	4·—
Pecco kwiatowej	6	„	3·—
„ „ karawanowej	7	„	4·—
„ „ najprzedniej.	8	„	6·—
Gumpowder ziel. perłowa	9	„	3·—
„ „ „	10	„	4·—
Wysiewki herbaciane			1·30
„ „ z najlep. herbat			1·60

poleca najlepsze gatunki

KAWY

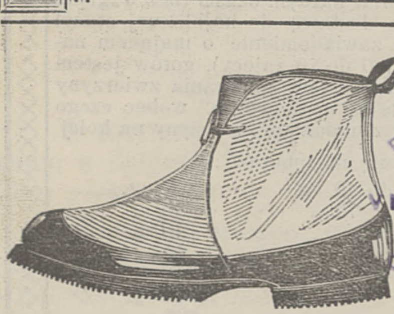
o smaku czystym i aromatycznym

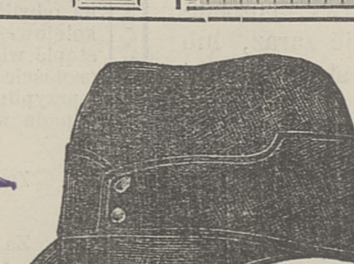
które rozsyła franco, opłacone do każdej stacyi pocztowej $4\frac{3}{4}$ kilo w woreczku:

Jamajka	7·—	½ kl.	—·70
Santos	7·50	„	—·80
Portorico	8·85	„	—·96
Cuba grubo ziarnista	9·20	„	—·90
Ceylon zielona	9·50	„	1·—
„ „ przednia	10·—	„	1·04
„ „ grubo ziarnista	10·50	„	1·08
„ „ perłowa	10·50	„	1·08
Mocca arabska aromatyczna	10·50	„	1·08
Jawa złota	10·50	„	1·08

Ceny herbaty oznacza się na ½ kilo w paczkach po ½, ¼, ⅛ kg.

Opakowanie nie liczy się. — Zamówienia z prowincyi wysyła się odwrotną pocztą







Kapelusze, czapki, buty i berlacze do polowania, kalosze. Pończochy i rękawiczki

poleca

KAZIMIERZ BIELCZYK

Lwów, ulica Halicka l. 21.

Cennik illustrowany na żądanie franco.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**